



Lucy Maud Montgomery

Ania
z *Zielonego Wzgórza*

Tłumaczył
Paweł Beręsewicz

Wydawnictwo Skrzat
Kraków

*Dobry nad tobą układ gwiazd
Stworzył cię z ducha, ognia, rosy*

Robert Browning *Evelyn Hope*

Książkę złożono pismem Antykwa Półtauskiego, zaprojektowanym przez grafika i typografa Adama Jerzego Półtauskiego w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku. Replika elektroniczna kroju przygotowana została przez Bogusława Jackowskiego, Janusza M. Nowackiego i Piotra Strzelczyka (jns team) i udostępniona w połowie 2000 roku.

© Copyright by Skrzat, Kraków 2012

Tytuł oryginału: *Anne of Green Gables*

Tłumaczenie: Paweł Beręsewicz

Redakcja: Agnieszka Sabak, Anna Grzesik

Korekta: Sylwia Chojecka

Ilustracje: Sylwia Kaczmarska

Koncepcja graficzna: Sylwia Kaczmarska *Red Head*

Skład: Aleksandra Kowal

ISBN 978-83-7437-826-0

Księgarnia Wydawnictwo Skrzat Stanisław Porębski

31-202 Kraków, ul. Prądnicka 77

tel. (12) 414 28 51

wydawnictwo@skrzat.com.pl

www.skrzat.com.pl

Rozdział I

Pani Rachel Lynde jest zdziwiona

Pani Rachel Lynde mieszkała w miejscu, w którym główna droga z Avonlea, po opadnięciu w niewielką kotlinkę obrośniętą olchami i bluszczem, przecinała potok wypływający z lasu na dawnej farmie Cuthbertów. Podobno w górnym biegu, zanim wynurzył się z gęstwiny, był to całkiem niesforny, dziarski strumień. Kluczył niespokojnie między drzewami, by w którymś momencie niespodziewanie rozlać się w mroczne leśne jezioro albo runąć w dół nagłym wodospadem. Jednak, zanim dotarł do Lyndowej Dolinki, robił się z niego cichy grzeczny strumyczek, bo nawet potok nie śmiał przepłynąć obok domu pani Rachel Lynde bez należytego poszanowania porządku i przyzwoitości. Pewnie wiedział, że pani Rachel siedzi w oknie i bacznie wszystko obserwuje, poczynając od potoków i dzieci, a kończąc na przechodniach, i gdy tylko dostrzeże coś dziwnego lub niestosownego, nie spocznie, nim nie wyśledzi, co się dzieje, gdzie i dlaczego.

W Avonlea, jak wszędzie na świecie, nie brakuje ludzi, którzy zajmują się cudzymi sprawami, zaniedbując przy tym własne. Pani Rachel Lynde należała jednak do tych nielicznych wybitnych osobistości, które świetnie dają sobie radę z własnym życiem i jesz-

cze starcza im czasu na cudze. Była uznaną gospodynią, wszystko miała zawsze zrobione na czas, i to zrobione dobrze. Prowadziła Kółko Krawieckie, pomagała prowadzić szkółkę niedzielną i stanowiła największą podporę Kościelnego Towarzystwa Dobroczynności oraz Kółka Misyjnego. A mimo to pani Rachel znajdowała mnóstwo czasu, żeby godzinami wysiadywać w oknie, robiąc na drutach bawełniane kapy (zrobiła ich już szesnaście, jak z przejęciem opowiadały sobie inne panie w Avonlea) i byстрыm okiem lustrując drogę, która przecinała dolinkę i dalej wiała się stromo po rudym zboczu wzgórza. Ponieważ Avonlea zajmowało niewielki trójkątny półwysep wrzynający się w Zatokę Świętego Wawrzyńca i z dwóch stron ograniczała je woda, każdy, kto do niego przybywał lub je opuszczał, musiał przejechać tą pagórkowatą drogą przed wszystkowiedzącym okiem pani Rachel.

Pewnego popołudnia na początku czerwca Pani Lynde jak zwykle siedziała na posterunku. Ciepłe i jasne słońce świeciło prosto w okno. Sad na zboczu przed domem rumienił się jasnorożowymi kwiatami i rozbrzmiewał monotonnym bzyczeniem tysięcy pszczoł. Thomas Lynde – cichy człowieczek, którego całe Avonlea nazywało mężem Rachel Lynde – siał rzepę na pochyłym zagonie za stodołą. Mateusz Cuthbert powinien był robić to samo na swoim czerwonym polu po drugiej stronie potoku pod Zielonym Wzgórzem. To, że powinien, pani Rachel wiedziała, ponieważ poprzedniego dnia wieczorem w sklepie Williama J. Blaira w Carmody była świadkiem, jak mówił Peterowi Morrisonowi, że dziś po południu zamierza siał rzepę. Oczywiście była to odpowiedź na pytanie Petera. Nikt nigdy nie słyszał, żeby Mateusz Cuthbert mówił o czymkolwiek z własnej woli.

A tu tymczasem proszę! Wpół do czwartej po południu, zwykły roboczy dzień, a Mateusz Cuthbert jedzie sobie jak gdyby nigdy nic przez dolinkę i wjeżdża na przeciwległe wzgórze! Do tego ma na so-

bie swoje najlepsze ubranie, co świadczy o tym, że udaje się gdzieś poza Avonlea. Podróżuje bryczką zaprzęzoną w kasztankę, z czego wynika, że udaje się gdzieś daleko. Pytanie, dokąd jedzie Mateusz Cuthbert i jaki jest cel tej podróży, nasuwało się po prostu samo.

Gdyby chodziło o jakiegokolwiek innego mieszkańca Avonlea, pani Rachel, skojarzywszy ze sobą odpowiednie fakty, zapewne znalazłaby całkiem prawdopodobne rozwiązanie obu zagadek. Mateusz jednak tak rzadko gdziekolwiek wyjeżdżał, że musiał istnieć jakiś naprawdę ważny i wyjątkowy powód. Nie było na świecie mężczyzny bardziej nieśmiałego niż on. Był wręcz chory, ilekroć musiał jechać gdzieś między ludzi, których nie znał, a już szczególnie coś mówić. Odświętnie wystrojony Mateusz jadący gdzieś bryczką – to nie był częsty widok. Pani Rachel, choć wyteżała umysł do granic możliwości, nie potrafiła znaleźć wytłumaczenia, a to zupełnie zepsuło jej humor.

— Wpadnę wieczorem do Zielonego Wzgórza – postanowiła wreszcie ta zacna kobieta. – Dowiem się od Maryli, dokąd pojechał i po co. O tej porze roku raczej nie jeździ do miasta, a już na pewno nie z wizytą. Gdyby mu się skończyły nasiona rzepy, nie stroiłby się tak i nie brałby bryczki. Po lekarza też nie jechał, boby się bardziej spieszył. A jednak coś się musiało od wczoraj wydarzyć, skoro ruszył się z domu. O co tu może chodzić? Nie znam spokoju, dopóki się nie dowiem, co tego borsuka wykurzyło z nory, ot co!

Zaraz po podwieczorku pani Rachel wyruszyła w drogę. Nie miała daleko. Duży rozległy dom Cuthbertów, otoczony ze wszystkich stron gęstym sadem, leżał nie więcej niż ćwierć mili w górę gościńcem od Lyndowej Dolinki. Do tego oczywiście trzeba było jeszcze doliczyć długą drogę dojazdową odchodzącą od głównego traktu. Ojciec Mateusza Cuthberta, po którym syn odziedziczył milczącą i nieśmiałą naturę, pobudował się od bliźnich najdalej, jak tylko było to możliwe bez zaszywania się w lesie. Zielone Wzgórze



powstało na samym skraju wykarczowanego terenu i nadal tam stało, ledwie widoczne z głównej drogi, wzdłuż której towarzysko skupiły się pozostałe domy w Avonlea. Pani Rachel uważała, że życie w takim miejscu trudno w ogóle nazwać życiem.

— To raczej przeczekiwanie życia, ot co – mruzczała do siebie, krocząc między głębokimi koleinami trawiastej drogi wysadzonej krzakami dzikich róż. – Nic dziwnego, że Mateusz i Maryla są trochę dziwni, skoro mieszkają na takim odludziu. Towarzystwo drzew to jednak nie to samo, choć słowo daję, gdyby było, to nie mogliby narzekać na brak towarzystwa. Ja tam wolę sobie popatrzeć na ludzi. Z drugiej strony właściwie oboje wyglądają na całkiem zadowolonych, chociaż pewnie po prostu się przyzwyczaili. Do wszystkiego można się przyzwyczaić – nawet do stryczka na szyi – jak mawiają Irlandczycy.

Z tymi słowami pani Rachel wkroczyła na podwórkę Zielonego Wzgórza. Było to podwórkę bardzo zielone, schludne i utrzymane w nieskazitelnym porządku. Jeden jego brzeg wyznaczały wielkie sędziwe wierzby, a drugi – stojące na bacność topole. Nie było na nim ani jednego niepotrzebnego patyczka albo kamyka. Gdyby był choć jeden, pani Rachel na pewno by to zauważyła. Osobiście podejrzewała, że Maryla Cuthbert zamiata swoje podwórze równie często jak dom. Można tam było jeść prosto z ziemi.

Pani Rachel energicznie zapukała do kuchennych drzwi i, zaproszona, weszła do środka. Kuchnia w Zielonym Wzgórzu była jasna i, można by było powiedzieć, przyjazna, gdyby nie kłująca w oczy

czystość, przez którą wyglądała na zupełnie nieużywaną. Jedno okno wychodziło na wschód, a drugie na zachód. Przez zachodnie – to od strony podwórka – wpadały do środka ciepłe promienie czerwonego słońca. Wschodnie natomiast – przez które widać było sad z kwitnącymi na biało wiśniami i niżej nieco senne smukłe brzozy nad strumieniem – zacieśniała zielona płatanina dzikiego wina. Tam właśnie – w tych rzadkich momentach, kiedy w ogóle zdarzało jej się usiąść – siadywała Maryla Cuthbert, która do słońca odnosiła się dość nieufnie, jako do rzeczy zbyt frywolnej i nieprzystającej do powagi świata. Tam też siedziała i tym razem. Trzymała w rękach robótkę, a stojący za nią stół nakryty był do kolacji.

Pani Rachel, zanim jeszcze dobrze zamknęła za sobą drzwi, już zdążyła dokładnie zlustrować wszystko, co stało na stole. A stały trzy talerze, czyli Maryla najwyraźniej oczekiwała, że Mateusz przywiezie ze sobą gościa. Były to jednak zwykłe codzienne talerze, a na gościa czekał tylko dżem z rajskich jabłuszek i jeden rodzaj ciasta, co znaczyło, że to nie będzie szczególnie ważna wizyta. Jak więc w takim razie wytłumaczyć białą koszulę Mateusza i bryczkę z kasztanką? Pani Rachel zaczynała się już źle czuć od tej niezwykłej tajemnicy w miejscu, które do tej pory nic tajemniczego w sobie nie miało.

— Dobry wieczór, Rachel – powiedziała bez zbędnej wylewności Maryla. – Piękną mamy dzisiaj pogodę, co? Siadaj, proszę. Co tam u was słychać?

Marylę Cuthbert i panią Rachel, mimo że były do siebie zupełnie niepodobne – a może właśnie dlatego – łączyło coś, co z braku lepszego określenia należałoby nazwać przyjaźnią.

Maryla była wysoka, chuda, z kantami, a bez krągłości. Jej ciemne włosy, które tu i ówdzie zaczynały już siwieć, zawsze związane były w ciasny, nieduży kok brutalnie przebity dwiema drucianymi szpilkami. Wyglądała na osobę o niewielkim doświad-

czeniu i niezłomnym charakterze, którą istotnie była. W kroju jej ust kryło się jednak coś takiego, co – gdyby tylko było odrobinę wyraźniejsze – mogłoby uchodzić za ślad poczucia humoru.

— U nas wszystko w porządku – odpowiedziała pani Rachel. – Ale bałam się, że u ciebie nie. Kiedy zobaczyłam na drodze Mateusza, pomyślałam, że może jedzie po lekarza.

Usta Maryli drgnęły znacząco. Spodziewała się tej wizyty. Wiedziała, że widok Mateusza wybierającego się w podróż bez zrozumiałej przyczyny będzie zbyt dużym wyzwaniem dla ciekawości jej sąsiadki.

— Nie, nie. U mnie wszystko w porządku, chociaż wczoraj strasznie bolała mnie głowa – powiedziała. – Mateusz pojechał do Bright River. Bierzymy chłopca z sierocińca w Nowej Szkocji i właśnie dzisiaj przyjeżdża pociągiem.

Gdyby Maryla powiedziała, że Mateusz pojechał do Bright River na spotkanie z kangurem z Australii, pani Rachel nie byłaby bardziej zdumiona. Na kilka sekund po prostu odebrało jej mowę. W głowie jej się nie mieściło, żeby Maryla mogła sobie z niej żartować, a jednak pani Rachel inaczej nie umiała sobie tego wytłumaczyć.

— Poważnie mówisz, Marylu? – spytała, kiedy już odzyskała głos.

— Oczywiście – potwierdziła Maryla takim tonem, jakby przysparzanie chłopców z sierocińców w Nowej Szkocji było naturalnym wiosennym zajęciem na każdej szanującej się farmie w Avonlea, a nie szokującą nowością.

Pani Rachel czuła się tak, jakby przed chwilą coś ciężkiego spadło jej na głowę. Myśli pojawiały się w gwałtownych rozbłyskach: Chłopiec! I to właśnie Cuthbertowie! Z sierocińca! No, po prostu koniec świata! Od dzisiaj nic już nie będzie w stanie jej zdziwić. Nic!

— Co wam strzeliło do głowy? – spytała karcąco.

Rzecz odbyła się bez zapytania jej o radę i choćby dlatego zasługiwała na naganę.

— Już od dłuższego czasu mieliśmy taki zamiar – odparła Maryla. – W zasadzie zastanawialiśmy się przez całą zimę. Pani Spencer, kiedy była u nas w wigilię, mówiła, że na wiosnę chce wziąć dziewczynkę z sierocińca w Hopeton. Mieszka tam jej kuzynka. Pani Spencer tam była i wszystkiego się dowiedziała. Od tego czasu sporośmy z Mateuszem o tym rozmawiali. W końcu postanowiliśmy, że weźmiemy chłopaka. No bo, widzisz, Mateusz nie młodnieje – sześćdziesiątka stuknęła i siły nie te, co kiedyś. Do tego jeszcze te kłopoty z sercem, a sama wiesz, jak trudno znaleźć kogoś do roboty. W najlepszym razie trafi się któryś z tych niewydarzonych francuskich chłopaczków. Zanim sobie takiego porządnie wychowasz i czegoś nie nauczysz, da nogę do przetwórni albo do Stanów. Mateusz proponował jednego z tych dzieciaków, co to je z Anglii przywożą, ale ja mu to od razu z głowy wybiłam. Ja nie mówię, że wszystkie są złe – tak mu powiedziałam – po prostu jakoś nie chcę w domu londyńskiego ulicznika. Niech to przynajmniej będzie dziecko stąd. I tak nie wiadomo, na kogo się trafi, ale będę spokojniej spać w nocy, jeśli to będzie kanadyjski chłopak. No to w końcu postanowiliśmy poprosić panią Spencer, żeby jakies dla nas wybrała, kiedy pojedzie po tę swoją dziewczynkę. W zeszłym tygodniu dowiedzieliśmy się, że jedzie, więc przekazaliśmy jej przez krewnych Richarda Spencera, którzy mieszkają w Carmody, żeby nam przywiozła jakiegoś miłego, bystrego chłopaczka – mniej więcej dziesięcio-, jedenastoletniego. Uznaliśmy, że taki wiek będzie najlepszy. Chłopak będzie wystarczająco duży, żeby już teraz mógł w różnych rzeczach w domu pomóc, a jeszcze na tyle mały, żeby go odpowiednio przyuczyć. Chcemy mu dać dom i wykształcenie. Dzisiaj listonosz przyniósł ze stacji

telegram od pani Spencer, że przyjeżdżają pociągiem o wpół do szóstej, więc Mateusz pojechał do Bright River, żeby go odebrać. Pani Spencer go tam wysadzi, a sama oczywiście pojedzie dalej do White Sands.

Pani Rachel chlubiła się tym, że zawsze mówiła, co myśli. Kiedy już więc wiedziała, co myśleć o tej niezwykłej wiadomości, musiała to powiedzieć:

— No cóż, Marylu, jeżeli chcesz znać moje zdanie, popełnicie ogromne głupstwo. Pakujecie się w kłopoty, ot co. Skąd wiecie, kto wam się trafi? Bierzecie do domu obcego dzieciaka, nie mając zielonego pojęcia, co to za jeden, jaki jest, kim byli jego rodzice, co z niego wyrośnie. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu czytałam w gazecie, że jacyś ludzie, gdzieś ze wschodu Wyspy, wzięli z sierocińca chłopaka, a ten im dom podpalił. Celowo podpalił, Marylu, i niewiele brakowało, a spaliliby się na węgiel w swoich własnych łóżkach. Słyszałam też, jak adoptowany chłopak podkradał jajka. Nie mogli mu tego wybić z głowy. Gdybyś mnie wcześniej zapytała o zdanie, czego niestety nie zrobiłaś, stanowczo bym ci odradziła to szaleństwo, ot co.

Maryli najwyraźniej ani nie uraziła, ani nie wystraszyła ta niezbyt krzepiąca przemowa. Dalej spokojnie robiła na drutach.

— Przyznaję, Rachel, że w tym, co mówisz, jest trochę racji – powiedziała. – Sama miałam wątpliwości, ale Mateuszowi strasznie na tym zależało, więc się zgodziłam. Jemu tak rzadko na czymś naprawdę zależy, że jak już się to zdarzy, po prostu nie mogę się nie zgodzić. Zaś jeżeli chodzi o ryzyko, to właściwie wszystko, co robimy w życiu, jest ryzykowne. A rodzenie własnych dzieci to niby nie jest ryzykowne? Przecież też nigdy nie wiadomo, co z nich wyrośnie. Poza tym Nowa Szkocja jest bardzo blisko Wyspy. Nie bierzemy dzieciaka z Anglii czy ze Stanów. Nie może się aż tak bardzo od nas różnić.

— No cóż, mam nadzieję, że to się dobrze skończy – powiedziała pani Rachel zbolalym tonem, który wyraźnie świadczył, że uważa to za rzecz wielce wątpliwą. — Tylko nie mów, proszę, że cię nie ostrzegałam, jak ci podpali dom albo wsypie strychninę do studni. Bo o takim przypadku też słyszałam. W Nowym Brunszwiku – cała rodzina zmarła w strasznych męczarniach. Tylko że tam akurat była dziewczynka.

— My nie bierzemy dziewczynki – powiedziała Maryla, jakby zatrucie studni było wyłącznie kobiecym zajęciem. – W życiu nie wzięłabym na wychowanie dziewczynki. Dziwię się pani Spencer. Chociaż ona akurat pewnie jakby mogła, adoptowałaby cały sierociniec.

Pani Rachel chętnie została by aż do przyjazdu Mateusza z sierotą. Kiedy sobie jednak obliczyła, że musiałyby czekać co najmniej dwie godziny, postanowiła raczej wstąpić w kilka miejsc i zrobić właściwy użytek z nowiny. Sensacja była gwarantowana, a pani Rachel uwielbiała wywoływać sensacje. Maryla przyjęła jej odejście z pewną ulgą, bo czuła, że pesymizm sąsiadki przywołuje na nowo jej własne obawy i wątpliwości.

— Trzymajcie mnie, bo zwariuję! – zawołała pani Rachel, kiedy już bezpiecznie znalazła się z powrotem na dojazdowej drodze. – To mi się chyba tylko śni! Współczuję temu chłopakowi. Mateusz i Maryla nie mają pojęcia o dzieciach! Pewnie się spodziewają, że będzie mądrzejszy i spokojniejszy niż jego własny dziadek – jeżeli w ogóle miał dziadka, co jest raczej wątpliwe. Dziecko w Zielonym Wzgórzu – to się po prostu w głowie nie mieści! Tam przecież nigdy żadne nie mieszkało. Kiedy stanął nowy dom, Maryla i Mateusz byli już dorośli. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek byli dziećmi, w co trudno uwierzyć, kiedy się na nich patrzy. Za nic bym nie chciała być w skórze tej sieroty! Oj, żal mi biedaka jak nie wiem! Ot co.

Tak to do krzaków dzikiej róży przemawiała z głębi swojego dobrego serca pani Rachel, ale gdyby mogła zobaczyć dziecko, które w tym samym momencie czekało cierpliwie na stacji w Bright River, jej współczucie byłoby jeszcze większe.



Mateusz Cuthbert jest zdziwiony

Do Bright River z Avonlea było osiem mil i Mateusz Cuthbert z kasztanką nie musieli zbyt się spieszyć. Malownicza droga wiała się wśród schludnych zabudowań, tu i ówdzie zanurzała się na chwilę w pachnącym jodłowym zagajniku albo zjeżdżała na dno niewielkich kotlinek, w których dzikie śliwy zwieszały swoje delikatne kwiaty. W powietrzu unosił się słodki zapach jabłkowych sadów, łąki ciągnęły się aż po horyzont spowity w perłowo-fioletową mgiełkę i „tak przygrywała skrzydlata brać, jak gdyby lato dzień miało trwać”¹.

Mateuszowi jechało się całkiem miło, nie licząc momentów, kiedy mijał jakąś kobietę i musiał jej się uklonić – bo na wyspie Księcia Edwarda należy kłaniać się każdemu, kogo spotka się po drodze, czy się go zna, czy nie.

Kobiet – poza Marylą i panią Rachel – Mateusz zwyczajnie się bał. Miał niemiłe wrażenie, że te dziwne stworzenia śmieją się z niego za plecami. Niewykluczone nawet, że miał rację, bo wyglądał

¹ Cytat z poematu *The Vision of Sir Launfal* Jamesa Russella Lowella (1819–1891).
Tłum. fragmentu Paweł Beręsewicz

Spis treści

<i>Rozdział I</i> Pani Rachel Lynde jest zdziwiona.....	7
<i>Rozdział II</i> Mateusz Cuthbert jest zdziwiony.....	17
<i>Rozdział III</i> Maryla Cuthbert jest zdziwiona.....	33
<i>Rozdział IV</i> Poranek w Zielonym Wzgórzu.....	41
<i>Rozdział V</i> Historia Ani.....	49
<i>Rozdział VI</i> Maryla podejmuje decyzję.....	57
<i>Rozdział VII</i> Ania odmawia pacierz.....	64
<i>Rozdział VIII</i> Wychowanie Ani rozpoczęte.....	69
<i>Rozdział IX</i> Pani Rachel Lynde jest wprost przerażona.....	79
<i>Rozdział X</i> Przeprosiny Ani.....	88
<i>Rozdział XI</i> Ania idzie do szkoły niedzielnej.....	97
<i>Rozdział XII</i> Uroczysta przysięga i obietnica.....	104
<i>Rozdział XIII</i> Rozkosze czekania.....	111
<i>Rozdział XIV</i> Wyznanie Ani.....	117
<i>Rozdział XV</i> Burza w szkolnej szklance wody.....	127
<i>Rozdział XVI</i> Podwieczorek ze skutkiem tragicznym.....	145
<i>Rozdział XVII</i> Życie odzyskuje blask.....	159
<i>Rozdział XVIII</i> Ania przybywa na ratunek.....	167
<i>Rozdział XIX</i> Koncert, katastrofa i wyznanie.....	178
<i>Rozdział XX</i> Zgubne skutki wyobraźni.....	193
<i>Rozdział XXI</i> Przełom w dziedzinie dodatków smakowych.....	201
<i>Rozdział XXII</i> Ania idzie z wizytą.....	213
<i>Rozdział XXIII</i> Sprawa honoru.....	219
<i>Rozdział XXIV</i> Panna Stacy i jej uczniowie organizują koncert.....	227
<i>Rozdział XXV</i> Mateusz a sprawa bufiastych rękawów.....	233
<i>Rozdział XXVI</i> Klub literacki.....	244
<i>Rozdział XXVII</i> Próżność i cierpienia duszy.....	253
<i>Rozdział XXVIII</i> Nieszczęsna Pani Nenufarów.....	262
<i>Rozdział XXIX</i> Epoka w życiu Ani.....	272
<i>Rozdział XXX</i> Zajęcia dla kandydatów do Queen's.....	283
<i>Rozdział XXXI</i> Na progu dorosłego życia.....	296
<i>Rozdział XXXII</i> Lista przyjętych.....	304
<i>Rozdział XXXIII</i> Koncert w hotelu.....	314
<i>Rozdział XXXIV</i> Uczennica Queen's.....	325
<i>Rozdział XXXV</i> Zima w Akademii.....	333
<i>Rozdział XXXVI</i> Sen i chwała.....	339
<i>Rozdział XXXVII</i> Żniwiarz imieniem Śmierć.....	347
<i>Rozdział XXXVIII</i> Na zakręcie.....	356